Nr 21. Kraków, 21 Maja 1892. Rok II.

«KRAKUS» wychodzi w każdy Piątek wieczorem.

Administracya w księgarni «Spółki wydawniczej polskiej.»

Redakcya ul. Pijarska Nr. 5.

KRAKUS

Prenumerata wynosi:

w Krakowie

rocznie . . 2 złr. 60 c.
półrocznie 1 » 30 »
kwartalnie — 65 »

z przesyłką pocztową

rocznie . . 3 złr. — c.
półrocznie 1 » 50 »
kwartalnie — 75 »

pismo poświęcone sprawom politycznym i społecznym,

oraz nauce, rozrywce umysłowej i szerzeniu wiadomości pożytecznych.

O głosowaniu powszechnem i o bezpośrednich wyborach.

II.

Podług naszego dzisiejszego prawa wyborczego wybierają posłów osobno wsie (czyli mniejsza własność), osobno miasta, i osobno większa własność. Ten sposób nazywa się wyborem kuryami. Między wyborami z mniejszej własności, a z większej i z miast zachodzi ta różnica, że w tych dwóch kuryach każdy kto ma prawo wybierania posła sam swój głos oddaje, a w mniejszej własności gminy wybierają naprzód wyborców, a ci dopiero wybierają posła. Ten sposób nazywa się wyborem dwustopniowym; tamten, gdzie każdy wprost za siebie głosuje, nazywa się wyborem bezpośrednim.

Mówiliśmy, że w sejmie był wniosek o bezpośrednie wybory z mniejszej własności. Zastanówmyż się teraz, czyby to było dobre, albo nie.

A naprzód zobaczmy dlaczego nasze prawo postanowiło wybory kuryami, i czy to jest słuszne.

Te tak zwane kurye zasadzają się na ilości opłacanych podatków. Kto płaci sto złotych i więcej rocznie, ten należy do większej własności, kto płaci mniej należy do mniejszej własności. Wyobraźmy sobie, że tych kuryj niema, i że wszyscy wybierają razem, jakiż byłby z tego skutek? Tych bogatszych, którzy opłacają wyższy podatek jest daleko mniej, aniżeli tamtych. Gdyby głosowali wszyscy razem, to oni zawsze byliby w mniejszości; nie mogliby nigdy wybrać takiego posła, któryby ich woli i przekonaniom odpowiadał. A przecie rzecz jest oczywista, że suma opłacanych podatków, stanowisko jakie mają w kraju, i wykształcenie, dają im słuszne prawo do tego, żeby swój wpływ na sprawy krajowe wywierali, żeby ich zdanie i wola mogły dać się słyszeć w sejmie przez ludzi do których mają zaufanie.

Taki jest powód wyborów przez kurye, czyli osobnych wyborów z mniejszej a osobnych z większej własności.

Są tacy, którzy mówią że to źle, a dobrze byłoby dopiero wtedy, gdyby wszyscy razem wybierali. Wtedy mówią, byłaby taka większość głosów włościańskich, że wybory musiałyby tak wypaść jakby włościanie chcieli, i oni przez swoich posłów rządziliby w sejmie. Uchwalaliby wszystko coby im było potrzebne albo dogodne, nie pozwoliliby na nic coby było uciążliwe.

Na pierwszy rzut oka i na pozór wydaje się to ponętnem, ale na prawdę nie byłoby dobrem. Nigdy nie jest mądrem i dobrem to co nie jest słusznem; a nie jest słusznem, żeby jedna część ludności miała w kraju wielką przewagę, i nad innemi przewodziła. Znowu przypomnijmy sobie naukę z własnego doświadczenia, z dawnej historyi polskiej. Wtedy szlachta sama rządziła, włościan ani mieszczan do wpływu na sprawy publiczne nie przypuściła, ich interesom głosu na sejmie i obrony nie zapewniła, a przez to dawną Rzeczpospolitę zgubiła.

Otóż kiedy nam mówią, że należy zmienić prawo wyborcze, dlatego żeby jednej części ludności zapewnić przewagę nad innemi, to nam radzą źle. Bo nie chodzi nigdy o przewagę jednych, tylko o sprawiedliwą równowagę między wszystkimi. Wszystko się zmienia na świecie, i nasze dzisiejsze prawo wyborcze zmieni się także. Ale kto roztropny ten się do zmian nie kwapi, i nie poczyna ich, dopóki nie jest pewien, że to nowe co ma być będzie na prawdę lepsze od tego dawnego co jest.

Dlatego trzeba także dobrze rozważyć, czy byłoby lepiej, gdyby włościanie wybierali posłów bezpośrednio, czy też tak jak ich wybierają dziś, przez wyborców. Ma i ten dzisiejszy sposób swoje złe strony, i może jak wszystko na świecie prowadzić do częściowych nadużyć. Ale kto wie przecież czy przy tym sposobie włościanin niema pewniejszego wpływu na wybór posła, niżby go miał przy wyborach bezpośrednich.

Pomyślmy coby się działo, gdyby nie było dwustopniowych wyborów, tylko gdybyśmy wszyscy mieli

iść do miasta i tam wprost na posła głosować. Naprzód, byłoby to, że bardzo wielu nie przyszłoby na wybory wcale. Znamy się między sobą, i wiemy jacy jesteśmy. Jednemu nie chciałoby się pójść, bo za daleko: drugi miałby pilną robotę; trzeci chorą żonę, albo dziecko, albo inną ważną przeszkodę; a jeszcze inny nie poszedłby po prostu z lenistwa, ze ślamazarności. Stawałoby więc do wyboru daleko mniej wyborców niżby ich było w prawie. A że tylko obecni głosy swoje oddają, więc na prawdę wybierałaby posła tylko pewna część, i to nieraz mała część mieszkańców; a ci wszyscy co w domu zostali, jużby żadnego wpływu na wybór posła nie mieli. Tymczasem dziś, mają go pośrednio, przez wyborców, ale go mają na prawdę.

Mogłoby się też zdarzyć, i z pewnością zdarzałoby się często, że z jednej wsi poszłoby na wybory gospodarzy dużo, z drugiej mało. Niechby wybrali posła któryby się sąsiedniej wsi nie podobał, jakie byłyby potem żale i skargi, a może kłótnie i swary między gminami. Jedna mówiłaby: „wyście źle wybrali — my takiego posła nie chcieli“. Druga odpowiadałaby: „to wasza wina — czemu was tam nie było?“ Powód do nieporozumień, do zatargów, do zazdrości. Czy nie lepiej teraz kiedy każda gmina swoich wyborców ma, każda przez nich swój wpływ na wybór posła wywiera, a wszystkie równo odpowiedzialne są za skutek wyboru.

A te wybory same, gdyby były bezpośrednie, jakby one szły! Wiemy że teraz, kiedy się schodzi parę set ludzi, i to stateczniejszych, nie zawsze wszyscy wiedzą na kogo chcą głosować, a nie zawsze też obejdzie się bez swaru i zwady. Cóżby dopiero było gdyby parę albo kilka tysięcy ludzi zeszło się na dzień wyborów? Naprzód każda wieś, albo każda okolica, chciałaby kogo innego mieć posłem. Tego, którego chciałaby druga, nie znałaby nieraz ani ze słuchu. Porozumieć się, zgodzić się na jednego w takiem mnóstwie ludzi, nie sposób. Padałyby więc głosy, to na tego, to na owego. Mogłyby padać na kilku różnych, tak że żaden nie miałby potrzebnej większości głosów. Więc wybierajcie drugi raz, i trzeci, dopóki przecie kogoś nie wybierzecie. Strata czasu i mitręga wielka; a sposobność do zwady także. Jednym się sprzykrzy i odejdą do domu; drudzy nie wiedząc już co robić dadzą się namówić, i byle raz skończyć oddadzą głosy na innego niż z początku chcieli; inni znowu będą się upierali i gniewali. Zamęt, nieład, nieraz może i bójka: nikt nie wie ani nie przewidzi jak się ten wybór skończy. A tymczasem zręczni jacy ludzie, częścią żydzi częścią ładnie ubrani panowie, kręcą się między ludźmi, namawiają, obiecują. Jednego proszą: „ustąp“; drugiemu szepczą: „nie daj się„; jednego przekonają, drugiego zbałamucą, trzeciego znudzą, czwartego podpoją — aż ludzie w końcu zmęczeni i oszołomieni sami już nie wiedzą czego chcą, głosy oddają sami nie wiedzą dlaczego, i posłem zostaje nie ten kogo lud wiejski na prawdę wybrać chciał, ale kto miał taką przypadkową namówioną większość.

PRZEBACZENIE.

(Przez Sta.)

Okropna burza z gradem, grzmotem i piorunami przeszła nad małem miasteczkiem A., położonem w niewielkiej kotlinie u podnóża Beskidów. Burza przyszła z zachodu, gdzieś z okolicy Berna i Ołomuńca, a nabawiwszy trwogi sławetnych mieszkańców miasteczka, powędrowała sobie gdzieś hen na wschód, wzdłuż całej Galicyi. Kiedy więc na wschodzie kłębiły się jeszcze czarne chmury, przecinane jaskrawemi błyskawicami, w zachodniej stronie nieba świeciło już milutko słońce, przeglądając się w kroplach deszczu i w wodzie obficie rozlanej po ulicach miasta.

Prawie wszyscy mieszkańcy maleńkiego A. wylegli przed domy rozglądać się po świecie, czy też jeszcze domy i ogrody zostały na swoich miejscach.

Na wszystkich twarzach obok przebytego strachu malowało się pewne zadowolenie, że przecie burza już przeszła, a oni cali i zdrowi zostali.

— Dzięki Bogu — mówili do siebie sąsiedzi — szkody przy domu niewielkie, ale trzebaby nam w pole, czy też aby grad nie zbił zboża?

— U mnie młodą jabłonkę wiatr złamał — zawołała jedna z kobiet — wiecie tę, co to mi ją Szlązak zaszczepił.

— O! szkoda! — zawołało kilka głosów — ale biednemu Szlązakowi już też pewnie wicher wszystkie róże i gwoździki połamał.

I gromadka ciekawych posunęła się w stronę małego domku, który jak w koszu kwiatów stał w niewielkim ale prześlicznym ogrodzie, barwnym i wonnym, bo przepełnionym najpiękniejszemi i najmocniej pachnącemi kwiatkami.

W ogródku krzątał się mężczyzna nie zbyt stary, bo sześćdziesięciu lat nie miał jeszcze, lecz dziwnie jakoś sterany, zgrzybiały: włosy jego białe jak mleko, bujne przecież były, jakby w pierwszej młodości, twarz pomarszczona i zwiędła wyrażała głęboki smutek, łagodzony jednak chrześcijańską rezygnacyą.

Szlązak, tak go sąsiedzi nazwali, gdyż ze Szlązka pono przyszedł do A., nazywał się Walenty Torecki. Przed czterema przeszło laty zjawił się z żoną i starą sługą w miasteczku, najął domek z ogrodem, w któ-

Za dawnej Rzeczypospolitej, na sejmikach szlacheckich, tak było że kto żył jechał lub szedł wybierać posła. Każdy miał swego upatrzonego za którym chciał głosować. Każdy też prawie był namówiony albo ujęty przez tego lub owego możniejszego czy zręczniejszego niż był sam. A z tego wynikały nieporządki takie, że nietylko rzadko gdzie godnych rozumnych posłów do sejmu wybierali, ale tak się między sobą wadzili a nieraz i bili, że te sejmiki i dobrą sławę nam u obcych psuły, i w domu szkód nas wielu nabawiły.

A że ludzie wszędzie i zawsze tacy sami, jednakowo ułomni, więc i teraz ten sam obyczaj mógłby nam przynieść takie same złe skutki.

Strzeżmy się ich, i nie dajmy się łatwo uwieść pięknemi pozorami. Pewniejszy i rzetelniejszy wpływ ma lud wiejski na wybory posłów dziś, kiedy ich przez wyborców wybiera, niż gdyby ich wybierał bezpośrednio. Pewniejsze i bezpieczniejsze jest dobro kraju, kiedy do wyborów należą tylko ludzie stateczni, mający swój zawód, swój stały obowiązek i odpowiedzialność, aniżeli gdyby każdy kto żyje miał na losy i sprawy kraju wpływ swój wywierać przez tak zwane głosowanie powszechne.

Jan Kochanowski,

pierwszy poeta polski.

Każdy naród oświecony ma swoich pisarzy. Dzieła tych pisarzy ze wszystkich czasów nazywamy literaturą, czyli piśmiennictwem tego narodu. W tych pismach poznać można co ten naród myślał, czego pragnął, jak rozumiał swoje obowiązki względem Boga, ludzi i samego siebie. Dlatego mówimy, że w literaturze odbija się duch narodu, jego rozum, jego sumienie i jego oświata.

Jak inne narody tak i my Polacy mamy literaturę swoją, a tak bogatą i piękną, że grube księgi o niej pisać można. Literatura, którą stanowią wszystkie dzieła pisane, dzieli się na poezyę i prozę; to jest na dzieła pisane wierszami, które się rymują, i na dzieła pisane zwyczajną mową.

Pisarzy, którzy piszą tak jak mówimy czyli prozą, nazywamy prozaikami; tych zaś, którzy piszą mową rymową albo wiązaną czyli wierszem, nazywamy poetami.

Z jednym takim poetą, Janem Kochanowskim, którego nazwano Ojcem polskiej poezyi i języka polskiego, chcemy dziś zapoznać Czytelników.

Z dawnych wieków, kiedy u nas panowali Piastowie, nie pozostały nam żadne pisane dzieła polskie. W tych czasach bowiem wszyscy ludzie uczeni na świe-

---

rym prześliczne pielęgnował kwiaty i nie bywając nigdzie oprócz co dzień w kościele, cichy, samotny wiódł żywot.

Przybycie Toreckich wzbudziło ogromną ciekawość w mieszkańcach A., bo w małej mieścinie, w braku ważniejszych wypadków, najmniejszy wywołuje wielkie zajęcie.

Mimo ciekawości i gorliwych dopytywań niewiele się dowiedziano o przybyszach. A i to niewiele zawdzięczano tylko zręczności oberżeściny-kupcowej w jednej osobie, która tak się krzątała, dowiadywała, podobno do powiatowego miasta jeździła po wiadomości, aż wyszperała, że Torecki to wcale nie biedny człowiek, bo co kwartał odbiera z poczty pewną sumkę pieniędzy, przysyłaną ze Szląska; że w powiatowem mieście oddał do kasy trzy tysiące reńskich, odziedziczone po żony matce, która w tem mieście niedawno umarła; a wreszcie na uwieńczenie tych wiadomości dowiedziała się pani kupcowa, że Torecki był przez długie lata nadzorcą w jakiejś wielkiej fabryce na Szląsku, że tam doznawszy jakiegoś wielkiego nieszczęścia przeniósł się do Galicyi, zkąd pochodziła jego żona.

To było wszystko, co o Szlązaku w A. wiedziano; lecz skoro ten zadzierżawił domek i ogród, należący do powszechnie kochanego i bardzo wziętego lekarza, który mieszkał w powiatowem mieście, a posiadłość w A. odziedziczoną po starej ciotce, tylko rzetelnym ludziom wypuszczał w dzierżawę, całe obywatelstwo miasteczka uznało Toreckiego godnym zamieszkania pomiędzy sobą i z czasem przestano się nim zajmować. Tylko ogród przepełniony rzadkiemi kwiatami a przynoszący nie zły dochód staremu interesował zawsze wszystkich, gdyż niejeden piękny kwiat z cieplarni Szlązaka przechodził w ręce bliższych sąsiadów i to najczęściej za pół darmo.

Więc też dziś po owej wielkiej burzy otoczono niskie sztachetki ogródka, którego wąziutki pasek oddzielał dom od ulicy, i z prawdziwem współczuciem zaczęto dopytywać się, czy aby burza nie zrządziła szkód zbyt wielkich. Torecki troskliwie oglądał kwiaty, podnosił i prostował pogięte, obcinał połamane, dawał nowe podpórki, gdzie się stare wywróciły i odpowiadając grzecznie na pytania sąsiadów, prawie każdemu podarował wonny kwiatek.

Zajęty tak swoimi wychowańcami i rozmową, nie zauważył starzec nowego przybysza. Był to młodzieniec dwudziestokilko-letni, pięknej postawy, śmiałych ruchów

cie pisali po łacinie: Niemcy, Francuzi, Włosi i t. d. Tak tedy i Polacy pisali po łacinie kroniki czyli historye, czasem i wiersze, a język ojczysty służył tylko do rozmowy. Dopiero w wieku XVI, za króla Zygmunta Starego, zaczęli nasi (jak i cudzoziemcy) pisać więcej w języku ojczystym. W krótkim czasie tak się on wspaniale rozwinął i doszedł do tak wysokiego stopnia doskonałości, że za następnego króla Zygmunta Augusta mieliśmy już znaczną liczbę dzieł po polsku pisanych, a tak pięknie, że dziś jeszcze czytamy je z największem upodobaniem, przyjemnością i pożytkiem.

Pierwszym niemal, który polsku zaczął pisać, był Mikołaj Rej z Nagłowic. Miał on dużo rozsądku, uczucia dobre, wesołości i dowcipu dosyć. Zasługę miał wielką w tem, że pisał po polsku. Ale niebawem znaleźli się tacy, co pisali daleko lepiej od niego. Tacy byli naprzykład Górnicki, Orzechowski i inni: ale żaden nie zasłynął tak jak Jan Kochanowski, którego poezye dziś jeszcze należą do najpiękniejszych, jakie mamy.

Nim przypatrzymy się dziełom Kochanowskiego, opowiemy pokrótce jego życie, bo było szlachetne i piękne, a stosował się ściśle do rad i nauk, jakie narodowi w swych poezyach dawał.

Jan Kochanowski urodził się w roku 1530 we wsi Sycynie, powiecie radomskim, w ziemi Sandomirskiej. Ojcem Jana był Piotr Kochanowski, sędzia sandomirski, a matka Anna z domu Białaczowska. Oprócz Jana było w domu kilkoro innych dzieci.

Jan kształcił się najpierw w akademii krakowskiej, potem w Niemczech, następnie zwiedził całe Włochy, wszystkie znaczniejsze miasta, szukając wszędzie nauki. Najdłużej uczył się w Padwie na sławnym tamtejszym uniwersytecie. Po kilku latach udał się jeszcze na nauki do Paryża, gdzie słynęła akademia t. zw. Sorbona. Przez cały ten czas pisywał on już dużo wierszy łacińskich. Ale bawiąc we Francyi, kiedy zobaczył, że Francuzi piszą własnym językiem, kiedy zobaczył, jaką wielką sławę zjednał sobie przez to Francuz Ronsard, którego nawet znał osobiście, pomiarkował, że i jemu przystałoby także pisać po polsku. Ośmielił się, zaczął i przekonał się, że i tym językiem tak samo jak łacińskim pięknie pisać potrafi.

W roku 1557 przysłał Kochanowski z Paryża do Polski wiersz zaczynający się następującą zwrotką:

„Czego chcesz od nas Panie za Twe hojne dary?
Czego za dobrodziejstwa, którym nie masz miary?
Kościół Cię nie ogarnie, wszędzie pełno Ciebie,
I w otchłaniach i w morzu, na ziemi i w niebie"

Wiersz ten dość długi, którego tylko jedną przytoczyliśmy zwrotkę, czytany był na pewnem zebraniu w obecności Mikołaja Reja, uchodzącego wówczas za największego polskiego poetę. Skoro Rej wiersz ten usłyszał, zdumiony jego pięknością, wziął go do ręki, odczytał raz jeszcze z uwagą i rzekł:

„Temu ja w nauce dank przed sobą dawam,
I pieśń bogini słowiańskiej oddawam".

---

i nadzwyczaj poczciwego wyrazu twarzy. Ubrany był bardzo starannie w podróżne, popielate ubranie, małą torebkę przewieszoną miał przez ramię i sporą laskę w ręku. Obcym musiał być w miasteczku, bo zebrani u płotka ciekawie mu się przyglądali, gdy ten pchnąwszy drzwiczki wszedł do ogródka i zdejmując kapelusz, rzekł wzruszonym cokolwiek głosem:

— Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus!

Szląząk pochylony nie widział podróżnego, lecz na głos jego drgnął, wyprostował się, zbladł, nóż ogrodniczy trzymany w ręku wypuścił, i cofając się patrzał jakby przerażony na dorodnego młodzieńca, podczas gdy ten ze smutnym ale serdecznym uśmiechem, całując rękę starego, pytał:

— Jakto, nie poznajecie mnie ojcze?

— Janek! jak mi Bóg miły, Janek! Lecz jakże ty... tu... — mówił zdumiony Torecki.

— Przybyłem was odwiedzić; a jak się matka miewa? — pytał Janek i nieznacznie wskazał oczami zebraną gromadkę.

Szląząk zrozumiał snać to spojrzenie, bo wnet się opamiętał, skłonił się uprzejmie sąsiadom na pożegnanie, wziął gościa za rękę i prowadząc do domu, mówił głośno:

— Toż się dopiero moja stara ucieszy; taki gość, Boże! taki gość; alem ci rad, serdecznie rad.

Gdy Szląząk znikł z młodzieńcem we drzwiach domu, gromadka u płota skupiła się i jęła radzić z takim zapałem, że aż wszystko wiedząca kupcowa z przeciwka przybiegła i wysłuchawszy o co rzecz idzie, przyrzekła zgromadzonym, że już się dowie, co za jeden ten Janek.

Torecki tymczasem wszedłszy do pokoju, zawołał:

— Matka, matka, a chodź-no tu z łaski swojej; oto Bóg dał nam gościa.

W drugim pokoju siedziała z książką od nabożeństwa w ręku Dorota Torecka i modląc się płakała. Na głos męża zapowiadającego gościa zerwała się z krzesła, otarła oczy i zamykając książkę, wsunęła pod nią fotografię młodego dziewczęcia; następnie wyszła przywitać przybyłego, którego widok zrobił na niej jeszcze silniejsze niż na mężu wrażenie.

Młodzieniec całując ręce Doroty, mówił ze smutkiem i drżeniem w głosie:

— Ojcze, matko, bo wszakże tak mi się pozwo-

To miało znaczyć, że stary pisarz przyznawał pierwszeństwo młodemu poecie tak pod względem nauki jak i wrodzonej zdolności.

Zachęcony powodzeniem i widząc, że nietylko we Francyi, ale w Niemczech i Włoszech piszą w językach ojczystych, jął Kochanowski coraz więcej pisać po polsku.

Wtem dowiaduje się, że mu matka umarła (ojca stracił już przed dziesięciu laty), opuszcza więc Francyę i wraca do domu. Po ukończeniu działów majątkowych, dostała się Janowi wieś Czarnolas. Ale w niej nie zaraz zamieszkał. Obyczajem ówczesnym spędził młodość przy różnych dworach, sposobiąc się do służby publicznej. Był naprzód przy dworze Marszałka Firleja, potem przy Biskupie krakowskim Padniewskim, wreszcie przeniósł się na dwór króla Zygmunta Augusta i był jednym z sekretarzy w jego kancelaryi. Urząd ten dochodów nie przynosił wielkich i nieraz mogło braknąć na liczne w dworskiem życiu wydatki. Ale kto się tam dał poznać jako zdatny i godny, ten z tego miejsca mógł dojść i do najwyższych urzędów.

Wielka nauka, talent Jana Kochanowskiego zjednały mu przyjaźń Podkanclerzego Biskupa Myszkowskiego, który nakłaniał poetę, aby został księdzem; lecz Jan nie czując powołania do stanu duchownego, pozostał nadal sekretarzem. Dano mu jednak probostwa w Poznaniu i Zwoleniu, gdyż wtedy był zwyczaj, że zasłużonym osobom świeckim dawano dochody z probostw z obowiązkiem utrzymywania wikaryuszów.

W roku 1568 był Kochanowski we wojennej wyprawie przeciw Moskwie, towarzysząc królowi Zygmuntowi Augustowi. W cztery lata później nastąpiła śmierć króla. Kochanowski już wtedy mieszkał na wsi. Swój urząd sekretarza niby zatrzymał, ale służby nie pełnił. Sprzykrzyło mu się dworskie życie i osiadł w swoim Czarnolesiu.

Opuściwszy dwór i osiadłszy w Czarnolesiu pojął Jan Kochanowski w małżeństwo cnotliwą i piękną dziewicę, Dorotę Podlodowską. Teraz też rozpoczyna się najszczęśliwsza epoka w życiu Jana; w wiejskiem zaciszu obok dobrej żony, ukochanych dziatek, w gronie szczerych przyjaciół przeżył wielki nasz poeta najpiękniejsze lata.

Pisząc w cieniu rozłożystej lipy coraz piękniejsze poezye, które rozchodząc się na całą Polskę, budziły zapał i uniesienie, zjednał sobie Kochanowski miłość i uwielbienie rodaków. W prześlicznych poezyach Jana zobaczyli Polacy całą piękność, dźwięczność i śpiewność swego języka.

Życie Kochanowskiego odpowiadało przekonaniom wyrażonym w pismach.

Pisał on bowiem:

„Ten pan zdaniem mojem,
Kto przestał na swojem".

A dalej:

„Nie kto ma złoto, ma perły, ma szaty,
Ale kto na swem przestał, to bogaty".

---

licie nazywać, choć tylko biednym sierotą jestem? czemuż to nie chcieliście, abym wiedział, gdzie się obracacie? Czy nie gniewacie się, żem was odszukał?

— Nie, Janku, nie; kochamy cię zawsze jak syna — zawołali starzy oboje, a Dorota dodała:

— Bóg widzi, żem ci z serca rada i ojciec tak samo. Ale siadajże, pewnoś głodny po długiej podróży.

Janek znowu schwycił rękę Toreckiej i całując ją, tak wymownie spojrzał w oczy smutnej kobiecie, że ta wnet odgadła, iż jakieś wieści ma dla niej.

Wybiegła więc żwawo z pokoju, idąc przysposobić posiłek, podczas gdy Torecki usiadłszy i wskazawszy gościowi krzesło, rzekł z jakimś ponurym smutkiem:

— Abyś zaś nie posądzał nas Janku o nieczułość i brak serca dla ciebie, muszę ci powiedzieć, dlaczego nic nie mówiłem, gdzie się udaję z żoną. Po tem okropnem naszem nieszczęściu... nie mogłem znieść sromu, jaki spadł na moją siwą głowę; pobyt we fabryce stał się katuszą; ja taki szanowany, za wzór stawiany innym ojcom, ja doczekałem — tu starzec nadzwyczaj wzruszony zakrył twarz rękoma, a Janek zawołał serdecznie:

— Ojcze, ojcze, nie zakrwawajcie sobie serca; wola Boża... Bóg dobry pocieszyć was jeszcze może...

— Ja też się woli Bożej oddaję z pokorą, i to jedno mię trzyma. O, synu mój, później, kiedyś, gdy będziesz starszy, a cierpienia wielkie spadną na ciebie, bo niema życia ludzkiego bez nich, wtedy dopiero poznasz, czem jest dla człowieka religia, czem wiara w Wszechmogącego Boga i Jego miłosierdzie.

Janek uśmiechnął się smutnie i odparł:

— Ja już nie od dziś czuję całą niedolę ludzi, którzy idąc za głosem socyalistów, utracili wiarę w Boga; nie może być nędzniejszej istoty jak człowiek bez religii.

— Prawda, Janku, prawda. Po tych wielkich fabrykach zwłaszcza napatrzeć się można wiele złego, niech cię Bóg strzeże i broni, abyś miał stracić to, co człowiek ma najdroższego to jest wiarę świętą. Lecz wracam do naszego nieszczęścia. Mój dobry pan zrozumiał, co się ze mną dzieje. Sam radził, abym się wyniósł i gdzieindziej nowe rozpoczął życie. Poczciwiec, niech mu Bóg płaci! co kwartał przysyła mi moją pensyę, bo mówi: „po trzydziestu latach służby należy się chleb łaskawy". Wyniosłem się więc tu, w rodzinne

I sam poprzestawał na małem, nie chcąc przyjąć żadnych łask, godności ni urzędów. Kanclerz Zamojski, wielki przyjaciel poety, wyrobił mu u króla Stefana Batorego kasztelanią Połaniecką, lecz i tego nie przyjął. Jeden tylko piastował urząd, wojskiego Sandomierskiego; obowiązkiem przywiązanym do tego urzędu była troska o wdowy, żony dzieci tych, co poszli na wojnę.

Jan Kochanowski przyjaźnił się nietylko z wielkimi panami, którzy go odwiedzali w jego skromnym dworku, ale prawdziwym był także przyjacielem ludu wiejskiego, z którym lubił przestawać, jak się to w jego wierszach widocznie pokazuje. Kochali go też wszyscy, wielcy i mali, a on dziękując Bogu za wszystkie dary, wiódł żywot skromny, cichy i spokojny napisawszy na drzwiach domu swego:

„Inszy niechaj pałace marmurowe mają,
I szczerym złotogłowiem ściany obijają,
Ja, Panie, niechaj mieszkam w tem gnieździe ojczystem,
A Ty mię zdrowiem opatrz i sumieniem czystem,
Pożywieniem uczciwem, ludzką życzliwością,
Obyczajami znośnemi, nieprzykrą starością“.

(Dok. nast.)

Pogawędka.

Nietylko trzeba być dobrym gospodarzem, umieć porządnie obrobić ziemię, ładnie zasiać i zebrać z pola w swoim czasie — nadto trzeba umieć spieniężyć zebrane plony. Jeżeli bowiem napracujesz się człecze, a za twą pracę niewiele ci zapłacą, to cię żal bierze, że z dużego zachodu mały pożytek i tracisz ochotę do dalszej pracy. Jeszcze większa ogarnie cię żałość, gdy się dowiesz, że za ów korzec pszenicy, który sprzedałeś żydowi za 7 złr., on dostał później 9 złr. Wyrzekasz potem, że kupiec tak łatwym sposobem zarabia pieniądze.

Na ławie siedział Jan i słuchał mojej mowy. Gdym zaczął prawić o narzekaniu na kupców, żachnął się i rzekł:

— A, czy nie słusznie wyrzekają ludziska, albo ja sam raz tylko wyrzekałem? Oj, panie, panie — to aż kipi w człeku, gdy patrzy na tak niesłuszny zarobek. Niedaleko szukać, ja miałem tego roku jałówkę tęgą, wyprowadziłem na targ i z biedą wziąłem za nią 25 złr. Wracam z targu, widzę, prowadzi chłop nieznany mi moją jałóweczkę. Ciekawość mię zebrała, pytam, a coście dali człecze za nią? — Ej dużo, odrzekł, aż 35 złr. — A czemużeście tyle dali? — A no, żyd zaczął ważyć jałówkę i dowodzić, że mu te same pieniądze da rzeźnik, bo ma wagę wielką. Myślę sobie, jałówka, z dobrego gatunku, trzeba dać te pieniądze, bo się opłaci — Oj, panie Antoni, taki mnie żal chwycił za serce, że słowa już nie rzekłem. Nie przyznałem się nawet, że Mendel kupił ją odemnie, bo mi wstyd było powiedzieć, iż tak tanio sprzedałem.

— A dlaczegoż tak tanio sprzedaliście?

---

strony mej Doroty, chcieliśmy początkowo zamieszkać w powiatowem mieście, ale tu nam spokojniej, i ogród mam piękny, a wiesz, że kwiaty zawsze lubiłem i pielęgnowałem. Uciekliśmy od ludzi, od znajomych z naszym wstydem i... daruj, nawet ciebie bolesno było nam widzieć w pierwszych czasach. Ile razy ciebie ujrzałem, przypominało mi się, jak bardzo szczęśliwi moglibyśmy być wszyscy, gdyby nie ten socyalista... gniew i żal chwytał mnie za serce, chciałem przeklinać to zwierzę w ludzkiej postaci, bo czyż nie godzi się nazywać tak człowieka, który nie chce znać swego Stworzyciela?

Starzec uniósł się tak, że drżał cały jak we febrze, Janek ujął obie jego ręce:

— Przebaczcie mu ojcze — mówił błagalnie — przebaczcie i mnie, że tu przybyłem i odnowiłem rany wasze, ale...

— Daj pokój, znam twoje serce, które cię tu przywiodło i widzi, że szczerze się cieszę z twego przybycia. A teraz opowiadaj mi o sobie, bom ciekaw, co się z tobą działo.

Tak zachęcony zaczął Janek Kruszyński opowiadać, jak mu się dobrze powodziło we fabryce, jak został naczelnikiem warsztatu tokarskiego, ilu pracuje pod nim majstrów, czeladki i uczni itd. itd.

Niebawem nadeszła też Torecka, a za nią służąca niosąca suty podwieczorek. Nasyciwszy pierwszy głód, opowiadał Janek dalej o znanych miejscach i osobach, a Toreccy chciwie słuchali. Pod wpływem tych słodkich wspomnień wypogadzały się zwolna smutne twarze staruszków, aż wreszcie uśmiech dawno niewidziany jak słońce po burzy zabłysnął na nich.

II.

— Mów Janku, mów bez obawy — rzekła Dorota nazajutrz do swego wychowańca — ojciec drzemie zwykle ku czwartej, mamy czasu dość. Mów, co wiesz o tej nieszczęśliwej?

— Mam tu list od Józi, pisany do ciebie matko na moje ręce...

— Daj mi go, daj; o biedna moja córka! — wołała Torecka i zaczęła czytać list następujący:

„Najdroższa Matko! Klękam u nóg Twoich i oblewając je łzami; wyznaję winę moją. Uniesiona miłością dla Franciszka opuściłam dom Wasz skrycie, w na-

— Ano, żyd gadał, że to małe, że młode, że więcej nie warto, więc myślę sobie, może prawda i dobiłem targu.

— Wy Janie, sprzedaliście jałówkę tanio, Wojciech wieprzaka, Józef wór żyta i t. d. Wszyscy narzekacie potem na kupców. Tymczasem nie winien tu kupiec, boć to jego interes, aby kupił jak najtaniej, ale winien sobie sam wieśniak.

— A to jakim sposobem? pyta zdziwiony Jan.

— Ot takim sposobem, że chłop sprzedaje wszystko na oko, a oko często zawodzi.

— Jakżeż więc mam sprzedawać?

— Sprzedawać powinniście zawsze na *wagę*.

— Na wagę? — powtórzył Jan i szeroko wybałuszył na mnie oczy, a jeszcze szerzej rozdziawił gębę.

— Tak jest, na wagę powinien chłop sprzedawać swe towary — powtórzyłem — jeżeli nie chce być oszukanym, a chce coś zarobić. Zaraz wytłómaczę wam to dokładniej. Czyście widzieli, aby w sklepie sprzedawał kupiec bez wagi?

— Nie.

— Dobrze. Otóż kupiec na wagę sprzedaje dlatego, aby wiedział, ile daje kupującemu, aby się sam nie oszukał. I ma on nie jedną wagę ale kilka. Wielkie i małe; bardzo maleńkie dla drobiazgów, jak herbata, pieprz, i bardzo duże do ważenia worów. Podobnie kupcowi powinien chłop zważyć w domu swoje produkta, aby wiedział wiele ich ma i wiele za nich ma żądać. Jeżeli ma 100 kilo żyta, niechże zaglądnie do gazetki, a tam wyczyta, po ile płacą żyto i niech trocha mniej żąda od tej ceny lwowskiej lub krakowskiej, wtedy wyjdzie dobrze. Jeżeli zaś na oko sprzeda lub na korzec, wtedy się oszuka. Żyd powie mu, że korzec powinien mieć 120 lub 130 kilo, chłop uwierzy i dosypie ćwierć więcej za darmo.

— Tać to prawda — odpowie Jan — ale zkąd ja wezmę wagę i czy mi się opłaci kupować taki drogi mebel, skoro nie mam dużo na sprzedaż?

— Jednemu wieśniakowi nie opłaci się kupować *wagi na zboże*, to pewno, ale kilku sąsiadów powinno mieć jedną wagę dla wspólnego użytku. Wtedy koszt niewielki na jednego a wygoda ciągle na długie lata. *Ręczną wagę* powinna mieć każda gospodyni w domu i wszystko ważyć co kupuje i sprzedaje. Kupisz mięso, zważ — kupisz mąkę, zważ — kupisz sadło, szmalec, zważ i t. d. waż wszystko, abyś wiedziała, czy się nie oszukujesz płacąc za towar. Naodwrót sprzedając coś swego, waż także, abyś wiedziała, ile żądać. A więc waż masło, waż konopie, waż ser, waż cebulę, waż fasolę i wszystko cokolwiek sprzedajesz. Idź za Kraków na Szląsk, na Morawę, tam zobaczysz, że nawet jabłka, ziemniaki, kapustę a nawet sałatę sprzedają na wagę.

— Oto dziwne rzeczy — rzekł Jan.

— Dziwne, ale pożyteczne. Z wagą w ręce wiesz co masz i co możesz żądać, ile zarobić. Ani ty nie oszukasz nikogo, ani ciebie nikt. Naprzykład kupujecie pudełko smarowidła za 4 ct. Takich pudełek trzeba złożyć 10 i zapłacić 40 ct. Tymczasem jeżeli kupisz

---

dzieci że skoro raz zostanę żoną Robaszkiewicza wszystko będzie dobrze. Przybywszy do Hamburga wzięliśmy ślub i zamieszkali w ślicznym domku na przedmieściu. Mąż mój szukał zajęcia, a ja napisałam list do Was najdrożsi Rodzice prosząc o przebaczenie.

„Lecz ku mej rozpaczy list wrócił nieczytany. Po daremnych próbach zaprzestałam pisywać; dopiero później kiedy Bóg dał nam dziecię, doniosłam Wam o mojem szczęściu. Ale i teraz napróżno, list wrócił z dopiskiem, że adresata niema już w G. Napisałam więc do poczciwego Janka, aby mi doniósł, gdzie są Rodzice. Choć go tak kiedyś obraziłam, odpisał mi przecież donosząc, że Rodzice wyprowadzili się gdzieś daleko, lecz nie wie gdzie; będzie się jednak starał dowiedzieć. Odtąd listy Janka były moją jedyną radością i pociechą; donosił mi o swoich poszukiwaniach, aż oto dziś odebrałam list, że wie, gdzie rodzice mieszkają i jedzie do nich. Piszę więc ten list czemprędzej, załączając wszystkie moje dawniejsze listy, bo mam nadzieję, że Ty Matko najdroższa będziesz je czytała i do Ojca wstawisz się za mną.

„Jeszcze raz upadam do nóg Waszych kochani Rodzice i błagam o przebaczenie razem z mojemi dwojga dziećmi, czteroletnim Walusiem i trzy lata mającą Dorotką. O moi drodzy Rodzice, darujcie mi, przebaczcie, przytulcie do Swego serca, bo strasznie zostałam ukaraną za nieposłuszeństwo i płochość i ciężko moje winy odpokutowałam. Całuję Ojcze i Matko Wasze nogi i nie wstanę w duchu od nich, dopóki mi nie przebaczycie. Wasza grzeszna ale żałująca córka

Józefa Robaszkiewicz".

Rzęsiste łzy polały się z ócz Toreckiej przy czytaniu tego listu. Janek złożywszy drżącą ręką resztę listów na stoliku przed biedną matką, wysunął się po cichu z pokoju.

(C. d. n.)

smarowidła na wagę (nie na oko, na pudełka), to zapłacisz za kilo tylko 15 ct. Kupując na oko, tracisz 25 ct.!

— Oj prawda, to sam się już przekonałem, że prawda.

— Ale nietylko martwe rzeczy sprzedaje się na wagę, i krowy i świnie sprzedawać najlepiej na wagę. Rzeźnik podnosi cielę lub wieprzka, bo chce wiedzieć, jak ciężki, aby się nie oszukał. Za granicą widziałem w każdem miasteczku na targowicy *wagę publiczną na bydło*, za opłatą paru centów, każdy sobie zważy prosiaka lub wołu i wie, ile ma za niego żądać. We Wiedniu nie kupują bydła inaczej tylko na wagę. Gdyby u nas ludzie domagali się tego, musiałyby miasta, które mają pozwolenie na targi sprawić takie wagi, a wtedy nie byłoby krzywdy nikomu, a byłby pożytek dla wszystkich. *J. Antoni.*

Listy zbrodniarza na śmierć skazanego.

Wszystkich ludzi Bóg stworzył jednakowo. Dopiero później przez wychowanie, przez przykłady, na jakie patrzą, i przez własne postępki jedni wychodzą na ludzi zacnych i pożytecznych, drudzy — ot tak sobie, są ni to, ni owo, ani źli, ani dobrzy, — inni zaś wchodzą na złą drogę, stają się hańbą dla swej rodziny, szkodnikami dla narodu i wreszcie gubią samych siebie na ciele i duszy. Chociaż nikt złym się nie rodzi, jednakże nigdzie złych ludzi nie brakuje. Nie każdy z nich dopuścił się wielkiej zbrodni, wielu dopełnia tylko mniejsze występki, ale każdy ma w sobie te same łotrowskie skłonności, i już to tylko rzecz przypadku — jak daleko one go zaprowadzą. Kto mniejszy występek popełnił, już jest na drodze do najgorszych zbrodni. Niechże więc jak najszerzej rozejdą się w świat, niech dojdą do uszu wszystkich ludzi słowa napisane własnoręcznie przez takiego, co od mniejszych występków zacząwszy, odbył całą tę drogę, aż doszedł tam, zkąd powrotu niema.

Świeże to dzieje, dopiero miesiąc upłynął, jak się zakończyły. Był sobie we Francyi niejaki Emil Dawid. Urodził się i rósł, jak wielu innych. Ba, chodził nawet do szkółki, czytać i pisać się nauczył. Ale nie nauczył się wielu innych rzeczy, które człowiek znać powinien. Zaniechał i czytania rzeczy pożytecznych, nie troszczył się o swą duszę, o swe serce i głowę, nie dbał o dobre, nie wystrzegał się złego. Żył jak bydlątko. Aż wreszcie, padając coraz niżej, przy sposobności dopuścił się zbrodni. Odszukano go, zamknięto w więzieniu i oddano pod sąd w mieście Nantach. Wiedział zbrodniarz czem to pachnie, ale tak już był zatwardziały, że nie chciał nawet żalu i skruchy okazywać. Zachowanie się jego gorszyło sędziów i stróżów więziennych. Za zbrodnie, jakich dopuścił się na wolności, skazano go na śmierć przez ucięcie głowy. Po wyroku pozostawało mu jednak jeszcze kilka tygodni życia. Wtedy zaczął go odwiedzać w więzieniu ksiądz, nazwiskiem Patron, jeden z tak zwanych jałmużników, co się opiekują więźniami i skazanych przygotowują na śmierć. Z początku i na księdza zbrodniarz nie zważał. Atoli powoli jak wosk od ciepła, zatwardziałość złego człowieka od łagodnych nauk kapłańskich mięknąć zaczęła. Wreszcie rozjaśniło mu się w głowie, a do swego doradcy tak się przywiązał, że zaczął tęsknić za nim i listy z więzienia do niego pisywał.

Minęły tygodnie, nadeszła straszna godzina sprawiedliwości. Ksiądz Patron towarzyszył skazańcowi z celi więziennej do miejsca wykonania wyroku i odmówił ostatnie modlitwy za duszę umierającego w chwili, gdy głowa odpadała od tułowia. Potem zaś wybrał niektóre listy Emila i posłał do wydrukowania w jednej gazecie francuskiej na pożytek ludziom. Otóż i my powtarzamy te listy na naszą mowę przetłómaczone.

List pierwszy. „Czcigodny ojcze jałmużniku! Piszę te słowa, aby Wam powinszować Nowego Roku i życzyć, żebyście po długim żywocie doszli do nieba. A także dziękuję Wam, Ojcze duchowny, żeście mi dali tę książkę (Naśladowanie Chrystusa). Od czasu jak ją czytam, jestem daleko spokojniejszy. A chcę Was prosić, Ojcze, jeszcze o jedno. Jeśli taka wasza łaska, opowiedzcie moje dzieje wszystkim młodym chłopcom żeby ich upamiętać w porę. Powiedzcie im, że do lat dwudziestu i ja nie popełniłem żadnego występku. Ale kiedyś zaznajomiłem się ze złodziejem i on mnie kraść nauczył. Potem stałem się zbrodniarzem. Powiedzcie im, że to droga śliska. Powiedzcie im odemnie skazanego na śmierć, aby nigdy nie kradli, bo od kradzieży do zbrodni droga niedaleka. Powiedzcie im to odemnie, a gdy Wam wierzyć nie zechcą, to im list mój pokażcie. Powiedzcie im, że tylko zapracowany pieniądz jest dobry, bo kradziony wcale szczęścia nie daje, powiedzcie im, żeby się strzegli przedewszystkiem ludzi, którzy ich częstować zechcą wódką po szynkach, bo tacy wciągają właśnie do złodziejstwa. Wreszcie, czcigodny Ojcze, opowiedzcie im moje dzieje, aby się zastanowili nad sobą i zwrócili ku Bogu, Stworzycielowi naszemu i Zbawcy. Powiedzcie im, że nikt mi nigdy o Bogu nie mówił i dlatego zostałem zbrodniem.

Podpisano: *Emil Dawid*".

List drugi: „Czcigodny Ojcze Jałmużniku! Spodziewałem się was wczoraj i wyczekuję dziś niecierpliwie. Takbym się chciał wyspowiadać! Pragnąłbym Ojcze, widywać Was codzień, abyście mi o Bogu mówili. To wszystko dla mnie nowe, a takie piękne, takie

wniosłe! I powiem Wam jeszcze, że nie żałuję, iż mnie na śmierć skazali; bo gdybym się dostał do ciężkich robót, zrobiłbym się może jeszcze gorszy niż byłem.
Emil Dawid".

List trzeci: „Teraz czuję się silniejszym i spokojniejszym wobec śmierci. Proszę Was Ojcze, dajcie poznać moje listy innym. Chciałbym choć w ten sposób naprawić złe, które uczyniłem. *Emil Dawid.*

List ostatni, pisany już w sam dzień śmierci. „Do mieszkańców w Sę Nazer!

„Kochani przyjaciele! Przepraszam pokornie Boga i ludzi za moje zbrodnie. Zasługuję na straszną karę, jaka mnie spotyka, i nie skarżę się na nią. Chcę Wam powiedzieć, że umieram jako chrześcijanin. Duszę moją oddaję w ręce Boga, który mnie stworzył, i Zbawiciela, który na krzyżu przebaczył takiemu jak ja przestępcy. Ciało moje oddaję w ręce kata dla spłacenia długu Francyi, mojej ojczyźnie. Oby mój przykład powstrzymał innych od zguby. Niech żyje Pan nasz Jezus Chrystus! Niech żyje Francya! *Emil Dawid.*

Ten ostatni list był odczytany nagłos przez kapłana u stóp rusztowania, na którem wykonywano straszny wyrok.

Korespondencye „Krakusa".

Z nad Dunajca.

W południe dnia 16 b. m. wybuchł pożar w Bogumiłowicach i wkrótce zniszczył do szczętu dwa domy wraz ze sprzętami gospodarczemi i trzy niepróżne stodoły włościańskie, które nie były asekurowane od ognia, oraz kilka sztuk bydła, koni, trzody chlewnej i t. p. Zginęło też w płomieniach pożaru kilkoletnie dziecko. Niebezpieczeństwo było bardzo wielkie, gdyż budynki wieśniacze, poczta, szkoła, stacya kolei żelaznej i t. d. są obok siebie położone i gdyby nie doraźna pomoc urzędników kolejowych, a głównie pp. Schneidra i Witnika, oficyalów, którzy ze sikawką przybyli i energicznie a umiejętnie ogień zlokalizowali — oraz straży ochotniczej z Wojnicza ze sikawkami, którą dyrygował p. Zieja, nauczyciel, mogłaby była cała wieś pójść z dymem. Wprawdzie niektórzy wieśniacy mieli swe budynki ubezpieczone od ognia w krakowskiem Towarzystwie ubezpieczeń — ale reszta zostałaby nędzarzami. Z niezmiernym zapałem i narażeniem się pracował przy ogniu nieustannie ksiądz Józef Franczak, proboszcz z Wierzchosławic, i swym przykładem przyczynił się wielce do ugaszenia ognia.

A z czegóż wszczął się pożar? Czy może zbrodnicza ręka go podłożyła? Wcale nie. Oto niedorostek, chłopak, paląc w stodole czy obok stodoły papierosa, był przyczyną tego wielkiego nieszczęścia. Oj, te papierosy! Nauczyciele i księża przestrzegają i karcą, ale czyż oni mogą być wszędzie i zawsze stróżami chłopaków? Rodzice temu winni że nie baczą na swe dzieci i wiele pobłażają. Urzędy gminne powinny czuwać nad tem ściśle, aby żaden niedorostek nie śmiał palić cygar ani fajki, jak to od kilku lat zaprowadził w gminie Rudka naczelnik tejże gminy p. Walery Szafrański, dzierżawca tameczny dóbr księcia Sanguszki — a uniknie się wielu nieszczęść i wiele dobrego zrobi się dla zdrowia i umoralnienia młodego pokolenia.
Fr. M.

Wiadomości polityczne.

Z Austryi. Wspominaliśmy już w *Krakusie*, że Rada państwa radzić będzie nad ustawą o zaprowadzeniu nowych pieniędzy. Otóż w sobotę 14-go maja przedłożył p. Minister skarbu w Izbie poselskiej w Wiedniu projekt tej ustawy. Pieniądz austryacki, będący dzisiaj w obiegu, zowie się *walutą austryacką* i w miejsce tej waluty ma być zaprowadzoną nowa, nazwana w projekcie *złotą walutą koronną.* Podstawą do obliczania ilości pieniędzy jest dzisiaj *jeden złoty reński ausryacką walutą,* w przyszłości ma być *jedna korona. Korona* ma być dzieloną na *100 groszy.* Złota waluta koronna ma być wybijaną ze złota a raczej z mieszaniny, składającej się z 9 części złota i 1 części miedzi; złoto samo byłoby za miękkie i łatwoby się ścierało, dlatego to do złota trzeba przymieszać metalu twardszego, jak miedź. Z jednego kilograma takiej mieszaniny 9 części złota i 1 części miedzi ma być wybijanych 2952 koron, zatem z jednego kilograma czystego złota 3280 koron. Dzisiejszych srebrnych reńskich wybija się 45 sztuk z jednego funta czystego srebra. W złocie wybijane będą jednak *tylko sztuki po 20 koron i po 10 koron.* Takie złote pieniądze po 20 koron i po 10 koron wybijać będzie mennica rządowa w Wiedniu na rachunek i na koszt państwa, ale i osoby prywatne będą mogły żądać, aby mennica z dostarczonych przez nich sztab złota wybijała *dwudziestokoronówki* i *dziesięciokoronówki* na ich rachunek i na ich koszt.

Będące dzisiaj w obiegu *reńskie srebrne* w sztukach po 2 złr., po 1 złr. i po $^1/_4$ złr czyli po 25 ct. wybijane nadal nie będą, *ale pozostaną nadal w obiegu* na równi z koronami i przyjmowane być muszą przy wszelkich opłatach, a mianowicie:

sztuka 2 złr. srebrem za 4 korony
„ 1 złr. „ za 2 korony
„ $^1/_4$ złr. (tj. 25 ct.) za 50 groszy.

Prócz dwudziesto i dziesięciokoronówek ze złota wybijane będą nadto *ze srebra*: sztuki *po 1 koronie* i *po 50 groszy*. Te monety jedna korona ze srebra i 50 groszy ze srebra wybijane będą przez mennicę rządową wyłącznie tylko na rachunek i koszt państwa, osoby więc prywatne nie będą miały prawa żądać, aby mennica wybijała im je ze sztab srebra przez nie dostarczonych. Do wybijania monet srebrnych używaną być ma mieszanina złożona z 835 części srebra i 165 części miedzi. Z jednego kilograma takiej mieszaniny wybijanych być ma 200 sztuk po 1 koronie lub 400 sztuk po 50 groszy.

Prócz monet ze złota i srebra będą jeszcze monety wybijane z metalu zwanego *nikiel*, podobnego do srebra, i z brązu t. j. mieszaniny złożonej z 95 części miedzi, 4 części cyny i 1 części cynku. Z *niklu* wybijane będą monety *po 20 groszy* i *po 10 groszy*, *z brązu* monety *po 2 grosze* i *po 1 groszu*. Dwudziestogroszówki i dziesięciogroszówki wybijane będą z czystego niklu, a mianowicie z jednego kilograma niklu 250 sztuk dwudziestogroszówek lub 333 sztuk dziesięciogroszówek.

Będące obecnie w obiegu monety srebrne po 20 centów, 10 centów i 5 centów, tudzież miedziane po 4 centy, 1 cencie i ½ centa *pozostać mają i nadal w obiegu* tak długo, dopóki Minister nie zarządzi wycofania ich z obiegu, *co osobnem rozporządzeniem dopiero później ogłoszonem będzie*, muszą więc być przyjmowane przy wszystkich wypłatach i to:

20-centówka za 40 groszy
10-centówka za 20 groszy
4 centy za 8 groszy
1 cent za 2 grosze
½ centa za 1 grosz.

Będące dzisiaj w obiegu *pieniądze papierowe*: 1 reński, 5 reńskich, 10 reńskich, 50 reńskich, 100 reńskich i 1000 reńskich *pozostaną i nadal w obiegu* pomimo zaprowadzenia koron i przyjmowane będą przy wszystkich wypłatach, dopóki na mocy osobnej ustawy nie zostaną z obiegu wycofane. Przyjmowane więc będą przy wypłatach pieniądze papierowe:

1 reński za 2 korony
5 reńskich za 10 koron
10 reńskich za 20 koron
50 reńskich za 100 koron
100 reńskich za 200 koron
1000 reńskich za 2000 koron.

Wszystko to, co powyżej przytoczyliśmy, *jest dopiero projektem do prawa*, a prawem będzie dopiero wtedy, gdy przez Radę państwa w Wiedniu uchwalonem zostanie. Skoro tylko prawo takie ogłoszonem nie zostanie, nie omieszkamy o tem donieść czytelnikom *Krakusa*, dzisiaj zaś już piszemy o projekcie w tym celu, aby ludzie nie dawali się oszukiwać różnym spekulantom, którzy rozszerzają kłamliwe wiadomości, chcąc wykupywać będące w obiegu pieniądze papierowe po tańszej cenie.

Nad projektem Ministra skarbu obradować zaczęła już Rada państwa. Nasi polscy posłowie obradowali nad tem w swem polskiem Kole, przyczem brał udział dawniejszy Minister skarbu p. Dunajewski, członek Izby panów austryackiej Rady państwa.

Na posiedzeniu Koła posłów polskich w dniu 15 maja wniósł poseł ks. Kopyciński, aby domagać się, by Izba posłów przystąpiła do obrad nad wnioskiem posła ks. Ruczki w sprawie zmiany obowiązującej dziś ustawy o konkurencyi kościelnej, to jest o sposobie rozkładania na parafian kosztów naprawiania kościołów, budynków plebańskich i wznoszenia nowych zabudowań.

NOWINY.

— **Uroczysta procesya** z Katedry na Skałkę odbyła się w niedzielę 15 maja o godzinie 9 rano przy pięknej pogodzie. Za bractwami kościelnemi szło liczne Duchowieństwo świeckie i zakonne, potem XX. Kanonicy katedralni a na końcu orszaku kapłanów szedł J. Em. ks. Kardynał i błogosławił ludowi. Przed J. Em. ks. Kardynałem niesiono na bogatej poduszce relikwiarz zawierający głowę św. Stanisława. Gdy procesya przybyła na Skałkę, ks. Kardynał odprawił uroczystą Sumę. Przez cały dzień wiele ludzi przybyłych z bliska i z daleka zapełniało świątynię i uczestniczyło w zakończeniu pamiątkowego odpustu.

— **Krakowska Rada miejska** wcale nie idzie w ślady swych przodków, którzy tak gorliwie starali się o upiększanie i budowanie coraz to nowszych Świątyń Pańskich, z których dziś Kraków na cały świat słynie. Naszym ojcom miasta, jak widać, chodzi o to, aby burzyć to, co zbudowała pobożność dawnych mieszkańców Krakowa, a że tak jest, tego dowodem najnowsza uchwała Rady miejskiej, mocą której postanowiono zburzyć dawny kościółek św. Ducha dlatego jedynie, że przeszkadza widokowi na nowy teatr. Co gorsza, zburzenie tej starodawnej Świątyni Pańskiej oddano w drodze licytacyi przedsiębiorcy-żydowi za marne 181 złr. Z woli tedy ojców grodu królewskiego żyd niszczyć będzie i rozbijać kościół, który w dawniejszych czasach tylu modłów i łez gorących był świadkiem. Ks. prałat Chotkowski sprzeciwiał się na posiedzeniu Rady miejskiej stanowczo temu *barbarzyństwu*, ale głos jego był głosem wołającego na puszczy. Smutna to rzecz, że dla teatru, który będzie siedliskiem nie tyle oświaty ile częściej zgorszenia, runąć musi kościół katolicki i to pod ręką żyda. Takich ojców miasta ma dzisiaj Kraków, zwany polskim Rzymem. Chyba więc nie katolicy ale sami żydzi i liberałowie rządzą naszem miastem.

— **Podziękowanie**. Poczytujemy sobie za miły obowiązek złożyć podziękowanie Wiel. p. Maurycemu Straszewskiemu, dziedzicowi dóbr radłowskich, za zaprenu-

merowanie *Krakusa* dla Kółka rolniczego w Radłowie, które tegoż dobroczyńcę swego obrało tu jednogłośnie swym przewodniczącym. — Radłów 15 maja 1892.

Ks. Lacroix.

— **Piękna uroczystość.** Z Jaworzna piszą nam: Dnia 14 maja b. r. odbyło się w Jaworznie uroczyste nabożeństwo, jakiego tutejsi mieszkańcy dawno nie zapamiętali. Wielebny ksiądz katecheta Wincenty Niedojadło przygotował dziatwę szkolną do pierwszej Komunii świętej. Była to nader wzruszająca chwila, kiedy dziewczątka w bieli ubrane, z wianuszkami na głowach i świecami w ręku i chłopcy świątecznie przystrojeni przyjmowali po raz pierwszy Ciało Pańskie. Do młodej dziatwy wypowiedział bardzo piękną mowę ks. Wład. Jelonek, który razem z ks. Niedojadło gorliwie pracuje nad dobrem naszego ludu. Oby im Bóg użyczyć raczył jak najdłuższego życia i sił do tej pożytecznej pracy!

M. J.

— **Z Jakóbkowic** koło Nowego Sącza piszą nam: „Krakowskie Towarzystwo oświaty ludowej założyło w Jakóbkowicach czytelnię i nadesłało dla niej 105 książek zajmującej i pouczającej treści. Uroczyste otwarcie czytelni odbyło się 1 maja b. r. o godzinie 4 po południu w sali szkolnej. Zgromadzenie zagaił krótkiem lecz pięknem i treściwem przemówieniem ks. Franciszek Gabryelski, proboszcz miejscowy, objaśniając zgromadzonym cel czytelni i zachęcając ich do korzystania z tejże. Następnie bardzo pięknie przemawiali kolejno WW. pp. właściciele dóbr w tej parafii leżących, przytem wsparli czytelnię znacznemi datkami pieniężnemi i ofiarowali jej czasopisma *Krakusa* i *Niedziela*. W końcu wszyscy panowie wyrazili swoje uznanie kierownikowi czytelni Józefowi Kaliszowi, miejscowemu organiście, który oddawna starał się o otwarcie czytelni w Jakóbkowicach. Jest nadzieja, że czytelnia nasza świetnie rozwijać się będzie, i że wnet też nastąpi zawiązanie Kółka rolniczego, a przy niem znajdzie się też sklepik chrześcijański. Tak przewielebnemu księdzu proboszczowi Gabryelskiemu jako i wszystkim panom obywatelom a naszym dobrodziejom oraz Towarzystwu krakowskiemu składamy za powyższą pomoc stokrotne „Bóg zapłać!"

Wojciech Skórnóg, wójt gminy Bilska.
Józef Kalisz, organista i kierownik czytelni w Jakóbkowicach.

— **Śmierć od pioruna.** Do wsi Adamowska Wola w pow. mościskim dnia 10 b. m. nadciagnęła straszna burza z ulewą, grzmotami i piorunami. Wdowa po oficyaliście prywatnym, p. Czarnekowa, wyszła na wieś, aby zawołać chłopca, który pasł w polu krowę, chcąc go przestrzedz, aby schował się do domu. Wtem lunął deszcz, zaczęło grzmieć i błyskać się, a gdy oboje przyspieszyli kroku, nagle uderzył piorun i zabił Czarnekową na miejscu, chłopca zaś tak odurzył, że choć przyszedł po chwili do przytomności, ciężko potem zachorował.

— **Nieszczęśliwe wypadki.** W Lesienicach koło Lwowa stracił życie w kamieniołomie robotnik, pozostawiwszy żonę i kilkoro dzieci. Kamieniołom ten jest własnością żyda, który wcale nie starał się o to, aby zachować przy tej robocie potrzebne środki ostrożności. — W Przemyślu 7 b. m. podczas wbijania palów przy budowie mostu na Sanie oderwał się kafar i zgniótł swym ciężarem dwóch robotników na śmierć.

— **Bezczelność żydów.** Do czego dochodzi bezczelność żydów, dowodzi wypadek następujący. Jeden z dzielniejszych rękodzielników otworzył we Lwowie handel obuwia. Otóż szewcy żydowscy postanowili zniszczyć goja, który śmiał z nimi konkurować, i w nocy potłukli mu szyld, a napisy zamazali mazią.

— **Pożary.** Dnia 4 b. m. wybuchł pożar w Uszni koło Sasowa w domu żyda Jośka. Ztąd przerzucił się ogień na stojące w pobliżu domy Moszka Babera i włościanina Pikulskiego, a podsycany silnym wichrem rozszerzał się coraz gwałtowniej. Do godziny 6 wieczorem zgorzało około 100 budynków i 32 rodzin pozostało bez dachu. Przyczyna ognia nieznana. Do ruskiego pisma *Diło* donoszą, iż już po stłumieniu pożaru schwytano tam jakiegoś feldfebla, który zapałkami chciał podpalić chatę, ale sprawa ta nie jest wyjaśnioną, gdyż ów żołnierz ma być obłąkanym. Smutnem tylko jest to, iż włościanie podczas pożaru wcale nie spieszyli z pomocą, lecz z założonemi rękami przypatrywali się rozszerzaniu się niszczącego żywiołu, a nawet utrudniali ratunek, gdyż nie chcieli dawać ani konewek, ani koni do wożenia wody. Głównie do ugaszenia pożaru przyczynili się mieszczanie. — Wielki pożar nawiedził dnia 2 b. m. wieś Skorodyńce koło Byczkowiec. Ogień wybuchł w stajni jednego z gospodarzy, w której znachorka okadzała ziołami chorą krowę, i obchodząc się nieostrożnie z żarzącemi węglami, wznieciła pożar, który podsycany silnym wichrem rozszerzył się gwałtownie i w przeciągu jednej godziny zniszczył do szczętu około 60 zagród włościańskich. Siedmdziesiąt rodzin pozostało bez chleba i dachu. Pierwszej pomocy biednym pogorzelcom udzielili p. Cielecka, właścicielka Byczkowiec, i ks. Łukaszewicz, proboszcz tameczny.

— **Stan zasiewów.** Ze Skałatu piszą d. 10 b. m. Podolska ziemia nasza mimo swej żyzności i bogactwa, w bieżącym roku nie bardzo dopisała urodzajami. Oziminy są w ogóle liche. Z wyjątkiem kilku lepszych gospodarstw, reszta jest w całem tego słowa znaczeniu lichota. Najwięcej ucierpiały późne zasiewy ozime. Widziałem majątki, w których całe łany pszenicy lub żyta od 100 do 150 morgów zaorano i zasiano już to jęczmieniem, już to pszenicą jarą. Niezasianie oziminy są rzadkie, z placami przeważnie golemi; wobec tego łatwo poznać, iż zbiory oziminy będą bardzo skromne.

Jarzyny również nie rokują wielkich nadziei, a to dla posuchy, która tu w promieniu kilkumilowym panuje. Od siedmiu tygodni deszczu nie było w naszej okolicy — a wobec tego i jarzyny, teraz jedyna nadzieja dochodów gospodarza, są zagrożone tą samą klęską — jeśli w ciągu dni paru nie uratuje ich deszcz.

Po trzech latach nieurodzaju mamy jeszcze jeden podobny, prawie niczem nie różniący się od poprzednich. W chwili, gdy te słowa kreślę, zbliżyła się chmurka i rzęsisty deszcz przeszedł po raz pierwszy, lecz trwał zaledwo 10 minut. Dobroczynne jego działanie łatwo było poznać po pożółkłych pastwiskach, które nabrały zieleni. Szkoda, że deszcz tak krótko padał.

Ludzie chodzący po jarmarku błogosławili niebo za tę rosę niebieską, widząc w niej swój jedyny ratunek.

— **Burze i grady.** Z Nowego Targu donoszą: Dnia 10 b. m. podczas burzy, która szalała nad naszem miastem, uderzało mnóstwo piorunów, a jeden z nich wpadł przez sień do hotelu Herza, uderzył stojącego

w progu kelnera w ramię, które mu napuchło, a następnie wpadłszy do pokoju gościnnego rozsypał mnóstwo iskier i z ogromnym trzaskiem wrócił napowrót kominem, gruchocąc w nim kilka cegieł. Dwie osoby, które siedziały w pokoju gościnnym i piły wino — oprócz strachu — nie doznały żadnego szwanku.

Dnia 6 b. m. w Brodach i okolicy spadł deszcz z gradem i uszkodził tam nieco kwitnące drzwa owocowe.

Z Rochatyńskiego piszą: U nas rozpoczęła się już na dobre pora gradobicia. W poniedziałek 10 maja po południu nadciągnęła straszna chmura z północnego wschodu i lunęła gęstym gradem wielkości laskowego orzecha. Po gradzie zaczął padać rzęsisty deszcz. Trwało to wszystko trzy godziny.

Szkody są olbrzymie, gdyż grad wytłukł zasiewy i ogołocił zupełnie kwitnące już drzewa. Straszna ta burza gradowa przeciągnęła ponad następującemi wsiami: Sarnki, Junaszki, Kuropatniki, Kopice, Obelnicę, Nastaszczyn, Czabrów i przeszła w kierunku do Bukaczowiec.

Z pod Żurowna znowu donoszą ze wsi Lubszy, że we wtorek 11 b. m. szalała tam także burza gradowa. Rano było bardzo pogodnie i ciepło, około południa nadciągnęły chmury, zaciemniło się, poczęło grzmieć i błyskać, a nareszcie deszcz z gradem lunął na ziemię. W wielu chatach powybijało szyby. Dopiero około godziny 3 po południu wyjaśniło się znowu.

W sąsiedniej wsi Mazurówce był grad o wiele jeszcze większy i poranił nawet bydło pasące się pod lasem.

Dnia 9 b. m. o godzinie 2 po południu ogromna burza z gradem zrządziła znaczną szkodę w Kołokolinie pod Bukaczowcami i w okolicy, a przy fabryce cementu, która dopiero co w ruch puszczoną, zerwała most drewniany. — Droga dowozowa do kolei, która była zawsze w bardzo złym stanie, została zupełnie zniszczoną i dojazd do stacyi niemożebny.

Zwraca się uwagę na dzisiejsze ogłoszenie o *Przewodniku praktycznym.* Książkę tę przejrzeliśmy i przekonaliśmy się, że zawiera bardzo wiele praktycznych wskazówek i rad pożytecznych, odnoszących się do gospodarstwa domowego. Z tego względu polecamy ją naszym Czytelnikom.

Ceny zboża
(z targu na Kleparzu).

Kraków 17 maja.

Płacono: za pszenicę białą od 10 zlr. 25 ct. do 10 zlr. 60 ct., za czerwoną od 10 zlr. — ct. do 10 zlr. 35 ct., za żółtą od 10 zlr. — ct. do 10 zlr. 30 ct, za żyto od 9 zlr. — ct. do 9 zlr. 60 ct., za jęczmień browarny od 7 zlr. 75 ct. do 8 zlr. — ct., na kaszę od 7 zlr. — ct. do 7 zlr. 25 ct., za owies od 6 zlr. 95 ct. do 7 zlr. 25 ct., za koniczynę czerw. od — zlr. do — zlr., za białą od — zlr. do — zlr. Wszystko za 100 kilogramów.

Kalendarzyk tygodniowy.

Dnia	Święta rzymskie	Wschód słońca		Zachód słońca	
		god.	min.	god.	min.
22	*Nied. 5. po Wielk.* Julii panny i m.	4	4	7	48
23	Pon. *D. Krzyż.* Dezyderyusza b. w.	4	3	7	59
24	Wt. *D. Krzyż.* Joanny wdowy i Afry.	4	2	7	50
25	Śr. *D. Krzyż.* Urbana p. i Grzegorza.	4	1	7	52
26	Cz. *Wniebowst. P. Jezusa.* Filipa. 🌕	4	—	7	53
27	Piat. Jana pap. i mecz.	3	59	7	54
28	Sob. Maryi Magdal. de Pazis.	3	55	7	55

Odpowiedzialny redaktor i wydawca:

Ksiądz Marceli Dziurzyński.

Nakład i własność „Spółki wydawniczej polskiej w Krakowie, zarejestrowanej z ograniczoną poręką".